

Australia, odcinek 2.

Szkoła w Sydney

Dzielnica, w której mieszkaliśmy nazywa się Strathfield. Wstawaliśmy rano o 7.30, zjadaliśmy szybkie śniadanie i z tego właśnie peronu startowaliśmy z Gosią i Arkiem do collegu, aby pobierać naukę z języka angielskiego.



Komunikacja w Sydney jest różnorodna, ale dwupoziomowe pociągi są tu najszybszym i bardzo popularnym środkiem transportu. Odjeżdżają co kilkanaście minut, a bilet można kupić na każdej stacji lub w automacie. W drodze do szkoły mieliśmy tylko jedną przesiadkę i jechaliśmy niecałą godzinę.

Wejście na perony.





Na trasie dołączyli do nas szkolni znajomi Arka. Poniżej przemiła Japonka Seiko, Arek i Gosia.



Wyjeżdżając do Australii otrzymujesz wizę turystyczną, która jest ważna rok. Aby podjąć legalną pracę, należy wykupić sobie co najmniej 12 tygodni nauki języka angielskiego w szkole.

Władze dbają o to, żeby emigranci, którzy rozpoczynają tu życie umieli się porozumieć. Słusznie uważają, że jeśli będą mieć obligatoryjny obowiązek nauki języka, wówczas szybciej staną w obcym sobie kraju na własnych nogach.



Wszystkie formalności związane z pracą i nauką można załatwić już w Polsce, choćby w biurze A.C.I.C , o którym wspominałam Ci w poprzednim odcinku.

Po kilku dniach od rozpoczęcia nauki języka, dokonujesz zmiany wizego na tzw. białą i możesz natychmiast podjąć pracę zarobkową, której jest tu pod dostatkiem.

Tysiące ofert przeczytasz w polskich gazetach, a agenci i pośrednicy są również do Twojej dyspozycji i osiągalni w przeróżnych prasowych ogłoszeniach.

Miesiąc nauki angielskiego kosztuje w granicach od 1200 do 1400 \$ w zależności od standardu placówki.

Ja zdecydowałam się na naukę tylko przez miesiąc lipiec, aby przyjrzeć się z bliska, jak ona wygląda na Antypodach. Jako pedagog ciekawa byłam metod i całokształtu przebiegu procesu dydaktycznego.

Już nazajutrz po przylocie do Sydney musiałyśmy zgłosić się w instytucji, odpowiedniku naszego kuratorium, aby dopełnić wszystkie szkolne formalności. Zostałyśmy oficjalnie zapisane i przyjęte do collegu. Za kilka dni, od nowego tygodnia rozpoczynałyśmy naukę.

Nasza szkoła była piękna. Powitała nas błyskiem lśniącej posadzki i ścianami pomalowanymi na rozmaite wesole kolory. Wszędzie na korytarzach ustawione były wygodne kanapy i fotele, a niektóre podłogi wyłożone były dywanowymi wykładzinami.

Czułyśmy się tutaj jak w dużym młodzieżowym klubie. Polskie szkoły mogą pozazdrościć australijskim wystrojowi i nowoczesnej architektury wewnątrz.

Otwieramy drzwi wejściowe. Popatrz, jak tu ładnie.



A to recepcja - odpowiednik kantorka naszej polskiej wożnej. Robi wrażenie.



Sekretariaty były w tym collegu dwa. W tym zrobiono nam zdjęcia, które były potrzebne do naszych identyfikatorów.



Drugi sekretariat.



Klasa, to w zasadzie był pokój niepodobny do tradycyjnej sali lekcyjnej. Na jednej ze ścian tablica, na pozostałych obrazy, wokół ustawione krzesła z pulpitem do pisania notatek. Przytulne i niewielkie pomieszczenie. Inne klasy były w tym samym stylu.

Nauka odbywała codziennie się w godzinach od 9:30 do 16-tej.

To japońskie dziewczęta z naszej klasy, poniżej polski kolega.



Szkolny bufet. Tymczasem jest tu pusto, bo trwa lekcja.



Szef bufetu, a ci chłopcy chyba sobie zrobili wagary.



W bufecie podczas przerwy.



Jeden z korytarzy.



Klasy liczyły po 10-14 osób z Europy i Azji. W naszej grupie oprócz mnie i Gosi były jeszcze dwie osoby z Polski, a pozostała młodzież z Francji, Słowacji, Japonii, Tajlandii i Bangladeszu w wieku 17-30 lat. Byłam jedyną uczennicą w swoim słusznym wieku i początkowo uważano, że jestem krewną kogoś.

Pierwszego dnia wszyscy nowicjusze, a więc i ja z Gosią, rozwiązywaliśmy test z angielskiego. Ja pojęcie o tym języku mam blade. Tyle co utkwiło mi w głowie z tytułów filmów, tekstów piosenek i nazw muzycznych zespołów. Kompletnie nie wiedziałam o co w tym teście chodzi. Gosia również miała problem, choć uczyła się angielskiego w gimnazjum i liceum. Obie oddałyśmy puste kartki.

Na podstawie wyników z testu, uczeń jest kwalifikowany do konkretnej grupy. Zazwyczaj wszyscy trafiają najpierw na poziom zerowy. Po tygodniu nauki nauczyciele oceniają postępy każdej osoby indywidualnie i albo zostaje ona w tej samej grupie na następny tydzień, albo przechodzi o oczko wyżej.

Nie wszystkim zależało, aby przenosić się do wyższej grupy. Taki awans wiązał się z wielogodzinną pracą ze słownikiem i angielskimi czasami. Większość młodzieży przyjechała do Australii aby pracować, więc na naukę nie zawsze był czas.

Anek, po półrocznym pobycie w tej szkole, uczęszczał na poziom trzeci.

Nauka odbywała się w 1,5 godzinnych blokach. Jednym słowem lekcja była długa. Pomiedzy nimi były trzy przerwy: dwie po 15 minut i jedna godzinna na lunch.

Dodatkowo codziennie każdego ucznia obowiązywała jedna godzina na samokształcenie i pracę własną na terenie collegu. Wtedy zazwyczaj szliśmy do sal informatycznych, w których każdy miał swój komputer i do niego hasło oraz identyfikator.

Nie wiem jak inni, ale w moim i Gosi przypadku samokształcenie polegało na pisaniu listów do Polski, na które nikt nam od razu nie odpisywał, gdyż w polskiej szerokości geograficznej był wtedy środek nocy.

Kolega Wojtek.



Sal komputerowych było kilka. To jedna z nich.

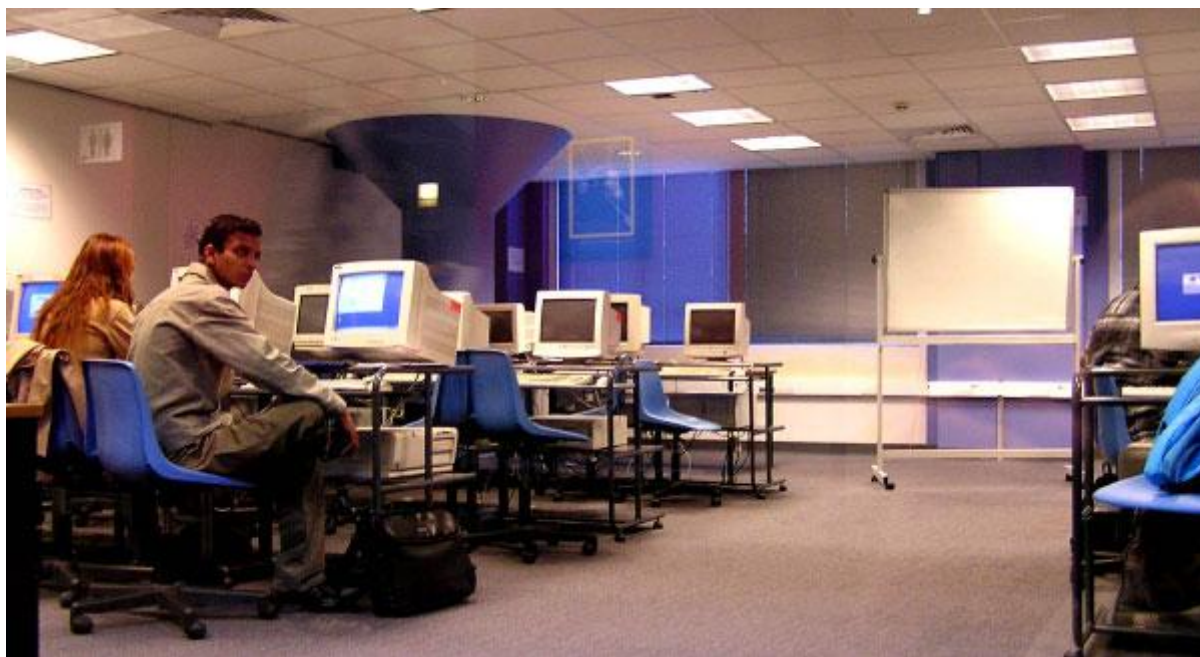


Druga sala komputerowa była nieco mniejsza.



Będąc tak daleko od domu cenna była dla nas, najkrótsza nawet wiadomość z Polski.

Kolejna sala z komputerami.



Materiały dydaktyczne otrzymaliśmy w szkole. Każdy uczeń dostał plastikowy segregator z nazwą collegu, w którym znajdowały się kartki A4 z ćwiczeniami gramatycznymi i tekstami piosenek.

Na wszystkich zajęciach sprawdzana była frekwencja. Wagary raczej nie wchodziły w rachubę, a jeśli, to bardzo sporadyczne. Zresztą jaki miałyby sens, skoro tyle pieniędzy płacono się za naukę.

Absencja na dwóch zajęciach w tygodniu powodowała przykre konsekwencje do skreślenia ucznia włącznie, co przede wszystkim uniemożliwiło kontynuowanie legalnej pracy.

Ci młodzi ludzie, którzy przyjechali do Australii chcieli zacząć nowe życie. W swoim kraju nie widzieli dla siebie żadnych perspektyw, a Antypody kusily atrakcjami, egzotyką i bogatym rynkiem pracy.

Nauka wyglądała czasem kabaretowo. Były osoby, które wcześniej uczyły się angielskiego kilka lat i tacy jak ja, czyli wcale. Na lekcjach nie było ważne, jak długo ktoś uczył się, lecz co teraz umie.

Ogromną barierą dla nas był już sam fakt, że choć jesteśmy z Europy, to jednak różnych narodowości, więc nawet na przerwie nie mogliśmy po ludzku porozmawiać. Dodatkowo dla Azjatów dużą trudnością była nieznajomość europejskiego alfabetu. Musieli pokonywać więcej przeszkód w przyswajaniu sobie angielskiego. Na szczęście każdy z nich, miał ułatwiający edukację podręczny ogólnonarodowy translator, który w mgnieniu oka zamieniał im angielskie wyrazy na japońskie. Przydatne cacko dla wszystkich początkujących w nauce obcych języków i podróżujących po świecie.

Każdego dnia starałam się pilnie słuchać, co mówią do mnie nauczyciele i przy tej okazji obserwowałam ich metody nauczania.

Nie powiem, żebym miała za dobrą motywację do nauki. Tyle, ile miałam jasnego dnia, byłam w szkole, a dopiero wieczorem w domu. Gosia zaś była szczęśliwa, że obraca się w takim kolorowym towarzystwie.



Naszą grupę prowadzili na zmianę Bruce i Lidia.
Poniżej z lewej Bruce i Gosia pomiędzy kolegami.



Tu Lidia. Była zawsze solidnie przygotowana do zajęć. Starła się bardzo i uczyła nas angielskiego poprzez zabawę.



Bruce mniej się przykładał do pedagogicznej pracy, ale za to miał duże poczucie humoru. Dzielił nas na małe 2-3 osobowe grupki i zadawał nam temat do dyskusji, na przykład „Opowiadamy sobie o naszych marzeniach”. Ale jazda.

Jeśli ktoś chciał o coś dopytać, to nawijał mu cały czas po angielsku, na dodatek z australijskim akcentem. Rozumiałam tylko: yes i thanks. Nikt nie oponował, choć podobnie niewiele jak ja rozumiał, co ten Bruce do nas gada.

W pierwszym tygodniu, siedziałam jak mysz pod miotłą, ale w drugim już nie wytrzymałam. Zaczęłam burczeć pod nosem, bo miałam już dość tej australijskiej pseudometodyki. Zapłaciłam za naukę 1200\$ i uważałam, że nauczyciele powinni być na tyle elastyczni, aby poświęcać czas również tym, którzy język znali bardzo słabo, a zaufali w skuteczność edukacji w tej szkole z uczniami na różnych poziomach.

Bruce niewiele się przejmował. Powiedział mi coś żartem i przechodził do dalszych ćwiczeń.

Rozmawiał Polak z Japończykiem, Słowak z Francuzem. Zanim dogadaliśmy się, o co biega, to już należało kończyć ćwiczenie i Bruce zadawał następne. Masakra. Wszyscy z Polski, do których pisałam wtedy listy, pamiętają moje rozgoryczenie i bezsilność.

Kiedy przeliczyłam wydane dolary w złotówki, to mi wyszło, że w Polsce miałabym za te pieniądze 100 indywidualnych korepetycji.

No cóż, szkolnych realiów zmienić nie mogłam i trzeba było znosić te stresy. Po minach innych widziałam, że popierają moje żale, ale nie mieli śmiałości przyznać się do tego. Obawiali się reakcji w stylu: jak się nie podoba, to do domu. Ja nie miałam nic do stracenia, więc buntowałam się za siebie i za kolegów. Oni byli w innej sytuacji. Przyjechali tu na stałe, a szkoła była po to, aby mogli legalnie pracować i z czasem opanować język. Tydzień dłużej czy krócej w szkole nie robił im różnicy. Często przychodzili tu, aby stan liczbowy zgadzał się i kiedy tylko było to możliwe, odsypiali na korytarzach przepracowane noce. Kiedyś musieli, bo skoro w szkole byli od rana do 16-tej, pracowali od 17-tej do 1 w nocy, zanim dotarli do domu to była 2-ga, to ile im tych godzin na sen zostawało?



Ja mojego przyjazdu do Australii nie wiązałam z pracą lecz z poznaniem tego ciekawego kraju. Nauka była tylko po drodze. Znam metodykę nauczania i oburzało mnie, że Bruce i Lidia nawet na zerowym poziomie realizowali program zaawansowany i nie przejmowali się, że ktoś większości tekstów nie rozumie.

Po pierwszym tygodniu nauki, kiedy już się oswoiłam, było tak: gdy Bruce mnie o coś zapytał, a ja nie rozumiałam, to z anielskim spokojem odpowiadałam mu po polsku: nie rozumiem, co do mnie mówisz. On na to: what ? A ja znowu po polsku: nie rozumiem, co do mnie mówisz.

I wtedy albo mi dawał spokój albo wręczał kolejną fiszkę, żebym sobie pooglądała obrazki. Paranoja.

Pod koniec mojej edukacji stwierdziłam, że poziom mojego angielskiego śladowo podniósł się do góry.

Dostałam za naukę w tym collegu o pięknej matematycznej nazwie Alpha- Beta, ładny certyfikat napisany na czerpanym papierze. Czcionką kursywy i same czwórki!

Patrzę czasem na ten dokument i nie wiem czy się śmiać, czy płakać. Ale nie żałuję. Bez wiedzy o australijskim szkolnictwie, bo w innych collegach dla obcokrajowców było podobnie, mój obraz Australii byłby niepełny. Ponadto atmosfera wśród nas uczniów była życzliwa i bardzo sympatyczna. Tworzyły się tu międzynarodowe pary i co najważniejsze, w szkole było artystycznie i bardzo ciepło w porównaniu z naszym mieszkaniem.

Kiedy po południu wychodziłyśmy ze szkoły, zmierzchało. Chłodne powietrze przypominało, aby zapiąć kurтки. Arek jechał w jedną stronę do pracy, a ja z Gosią w drugą na małe zakupy i do domu.



Kiedy otwieraliśmy drzwi mieszkania, na dworze było już ciemno. Szykowałyśmy ciepłe jedzenie, wskakiwałyśmy pod kołdry i uczyłyśmy się, co zadał Bruce. Często siadałyśmy też do komputera i z termoforem na kolanach rozmawiałyśmy z Polską.



Tak mijał lipiec. Poznawaliśmy wtedy Sydney tylko w drodze do szkoły i z powrotem. Czasem w weekend wychodziłyśmy na spacer po dzielnicy. Arek mógłby nam dużo pokazać, ale zaraz po zajęciach szkolnych jechał do pracy i wracał skonany o 2-iej w nocy. A kiedy w weekend zdarzyło się, że miał wolny dzień, dużą część dnia odsypiał. Jego praca w restauracji polegała na pomaganiu przy robieniu sałatek. Zarabiał 14\$ na godzinę i szybko splotał kredyt zaciągnięty przez rodziców na jego wyjazd.

Inni młodzi emigranci pracowali podobnie jak on. Ale nie narzekali, byli pozytywnie zmotywowani i wierzyli, że z czasem uda im się dobrze tu urządzić.



Antypody masowo zasiedlają Japończycy. Są tu wszechobecni. Zdyscyplinowani, ambitni i pracowici jak mrówki. Władze niezbyt chętnie na to patrzą i raczej promują Europejczyków. Robią to jednak w sposób taktowny.



Tak więc lipcowe wieczory spędzałyśmy z Gosią raczej w domu szukając w kątach odrobiny ciepła. Trudno nam było czuć się tu bezpiecznie i poruszać się po obcym mieście bez przewodnika. Zwiedzanie Sydney zaplanowałam dopiero na sierpień.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Zielona Gałązka, jeszcze niezbyt dobrze wiedząca, co przyniesie czas i da jej kiedyś w przyszłości Australia.

